

Bobkowski, toksyczny samiec [FELIETON]

W świecie, w którym reformatorzy obyczajów piszą z niekłamana zgrozą „Od mężczyzny wymagano do niedawna wytrwałości fizycznej i psychicznej” tacy faceci, jak prozaik i modelarz z Gwatemali nie mają racji bytu – zapraszamy do lektury nowego felietonu Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”.

Osobny głos Andrzeja Bobkowskiego został usłyszany już wiele lat temu i od tego czasu sięgają poń szczególnie ci, którzy lubią smaki nieoczywiste i niesłodkie: bourbon albo przynajmniej żytnia whisky, piwo typu lager; jeśli Campari, to bez soku pomarańczowego, jeśli patriotyzm, to bez akademijnej słodyczy, jeśli katolicyzm, to bez obfitości kadzidła. Opisano go jako bicyklistę, konspiratora i krytyka powojennej zapaści Europy. „Querido Bob” – tytułował swoje epitafium Czapski, a Andrzej Horubała dopowiadał w „Marzeniu o chuliganie”: „Właśnie ktoś taki jak Bobkowski – przenikliwy facet, nie ulegający ideologicznym dewiacjom, ze szklaneczką whisky Canadian Club w ręku, piszący książki na marginesie swych codziennych, nierzadko awanturniczych zatrudnień, powinien być autorem i bohaterem dwudziestowiecznej literatury polskiej”.

To więc wiadomo. Chcę w tej nocy zwrócić uwagę na Bobkowskiego-chuligana, Bobkowskiego „łączącego w sobie ducha Conrada i Hemingwaya” (to znów cytaty z Horubały) jako na kandydata już nie na

patrona dwudziestowiecznej literatury polskiej (to się nie ziściło) lecz – postaci do wymazania z tej literatury. A za co? Za toksyczną męskość.

Oczywiście, takich kandydatów jest wielu, jakby mocniej szarpnąć, to załapią się właściwie wszyscy poza Paradowskim, Schulzem i może jeszcze zapomnianym poetą Marianem Ośniałowskim, od Reja począwszy, na Stasiuku skończywszy: wszystko toto butne, bitne, kogucie i samolubne, temu z króciicy dymi, tamtemu skądinąd. Andrzeja Bobkowskiego warto jednak przywołać w tym kontekście z dwóch powodów: po pierwsze, ponieważ jego awanturniczość, „chuligaństwo”, samodzielność i zadzierzystość przez wielu postrzegane są jako rdzeń tego, co pozostawił, do czego się odwołujemy.

Po wtóre, ponieważ nie było to związane z jego prowadzeniem się, z uwikłaniem w wojnę i w walkę: nie został przyjęty do Wojska Polskiego we Francji we wrześniu 1939, nie wstąpił do maquis, nie zaciągnął się do Maczka ani do Andersa: zdał testy na pilota awionetki, ale wynik testu parafinowego, tego na ślady prochu na skórze, byłby pewnie negatywny. To rzadkość wśród pisarzy polskich, którzy zwykle jak nie do powstania szli, to bodaj na cietrzewie. Nie chlubił się też nigdy Bobkowski kawaleryjskim dorobkiem na polach bufetu i buduaru, co też różni go mocno od autorów tak różnych jak Miłosz i Iredyński, Fredro i Himilbach. Ciężko więc byłoby mu przyszyć najbardziej klasyczne męskie wady. A jednak, jeśli kampania przeciw toksycznej męskości nabierze jeszcze trochę rozpędu, ma szanse znaleźć się na jej celowniku jako jeden z pierwszych – właśnie dlatego, że jego konsekwencja, odwaga, skromność i samodzielność należały do jego istoty, nie ograniczały się do kilku kogucich epizodach, które zdarzyć się mogą również beksom, tchórzom i egotykom.

*Jeśli kampania przeciw
toksycznej męskości nabierze
jeszcze trochę rozpędu,
Bobkowski ma szansę znaleźć
się na jej celowniku jako jeden
z pierwszych*

Warto bowiem zdać
sobie sprawę (i temu
również służy ta
notka), że walka z
„toksyczną
męskością” jest
kolejnym feblikiem,
który zadomowił się
w naszych krajowych

wodach nawet prędzej niż moczarka kanadyjska. Owszem, pojedyncze jej manifestacje nadal przybierają charakter głównie humorystyczny. Kiedy diatryba skierowana przeciw „toksycznej męskości” zaczyna się od słów „Musisz być twardy, silny i pewny siebie. Mieć powodzenie u kobiet i poczucie humoru, być inteligentny i przystojny. Dobrze jeździć autem, dobrze zarabiać, mieć mocną głowę” słyhać w niej tyle żalu i żaru zarazem, że aż mamy ochotę życzyć jej autorowi, red. Hubertowi Walczyńskiemu z „Magazynu Kontakt”, by wreszcie zdał ten egzamin na prawo jazdy na hulajnodze elektrycznej – bodaj teorię! – i uczcił to, na bogato, pełną szklanką piwa Karmi, które z brawurą zamówi, podając karteczkę kelnerce. Kiedy na Facebooku i w teatrach produkuje się „Grupa Performatywne Chłopaki”, propagując warsztaty z czułości i sztuki przytulania się, która doprowadzić ma do „rozmrózenia męskiego wzorca – no cóż. Przed wojną wypadało przestrzec wchodzące w życie młode kobiety przed zbyt pochopnym odwiedzaniem garsonier kolekcjonerów motyli czy sztychów, dziś warto może sugerować synom na studiach pewien dystans wobec warsztatów z czułości, ale ostatecznie w liberalnym świecie prawie wszystko jest dla ludzi.

Tyle, że w przypadku „Performatywnych Chłopaków” – a szerzej, całego nurtu walki z *toxic masculinity* - nie mamy do czynienia ani z próbą zaciągania do łóżka tak niezawołowaną, że niemal niegroźną, ani z piętnowaniem zachowań w oczywisty sposób nagannych: przemocy domowej, gwałtu, krewkości, z jaką niektórzy sięgają w każdej sytuacji konfliktowej po klucz do opon, tulipanka, pistolet, co tam będzie pod ręką. Krytyka „toksycznej męskości” mogłaby, jako praktyka i cel szeroko zakrojonej modyfikacji społecznej stanowić modelowy przykład – nomen omen – „wylania dziecka z kąpielą”.

Nomen omen – bo natychmiast przychodzi na myśl trzynasta podróż Iona Tichego, w której ten nieustraszony podróżnik trafił, jak wiadomo, na planetę Pintę, doświadczającą, nawet w pewnym nadmiarze, dobrodziejstw melioracji. Mniejsza w niej o miłe, choć trącające dziś myszką, antystalinowskie wycieczki Lema, który zwraca uwagę na liczne posągi wąsatej ryby sumiastej. Decydująca jest prawda o pustynnej niegdyś Pincie, gdzie przyznano spore uprawnienia Urzędowi Melioracyjnemu – a w jakiś czas później obowiązkowy poziom wody w każdym pomieszczeniu wynosi sześć stóp i dwa cale.

Podobnie stało się ze zrywem antymaskulinistycznym, który współcześnie nabiera impetu nie tylko na starym Zachodzie. W latach 80. prof. Shepherd Bliss zaczął zwracać uwagę na negatywne składowe „męskiego modelu wychowania” (nie płacz, weź się w garść, pokaż im, dasz radę) – zwracając uwagę zarówno na jego pokrewieństwa z kulturą koszarowo-kibolsko-kryminalną, jak na trudności w odnalezieniu się w takim formacie i systemie nakazów każdego 10-latka, który niekoniecznie lubi nadmuchiwanie żab, podglądanie dziewczyn i kocowy w szatni. Tę prawdę o ludziach odrobinę bardziej

skomplikowanych niż pomocnik rzeźnika odkrywała zresztą od dawna literatura – i robi to do dziś, czego przykładem „Shuggie Bain”, stupudowej wagi powieść Douglasa Stuarta, która ukazała się właśnie w przekładzie Krzysztofa Cieślaka.

W 40 lat później jest już jednak po wszystkim: kontestowanie, demaskowanie i wykorzenianie *toxic masculinity* nie dotyczy już okrucieństwa, sadyzmu i gwałtu. Ugruntowane teoretycznie za sprawą odwołań do *gender theories*, wpisane w agendę emancypacji (a przy okazji, może trochę z rozpędu, rewolty wobec „kapitalizmu” i wycinania lasów), ba, umoszczone w niej, bierze na cel pakietowo wszystko to, co przed wojną było oczywiste, a kilkanaście lat temu zostało przyszpilone jako „tradycyjny wzorzec zachowań”.

Dla integralnego pacyfisty bowiem właściwie nie istnieje różnica między niezapomnianym profosem Slavikiem i sierżantem Rzepą, których spotykamy w areszcie wojskowym w pierwszym tomie „Przygód dobrego wojaka Szwejka” (— No, co prawda, to prawda, napociliśmy się nad nim, panie profosie — marzycielsko odpowiedział sierżant Rzepa. — Co to było za ciało! Przez pięć minut musiałem po nim deptać, zanim zaczęły mu trzeszczeć żebra i puściła mu się krew ustami”) a podchorążym Krzysztofem Kamilem Baczyńskim: jedna banda militarystów, chłopaczków, którym marzy się zabawa spluwą.

Dla integralnego przeciwnika *toxic masculinity* łapanie nieznanajomej dziewczyny za gardło i wpychanie jej łapy pod sukienkę („Lubisz to, co nie?”), strzelanie do starej kobiety, brnącej przez gruzy z baniakiem na wodę, wstawanie rano o kwadrans wcześniej, żeby wyjść z psem, robienie ostatnich trzech pompek na rżęząco, wkuwanie łaciny, pobicie

Wykorzenianie toxic masculinity nie dotyczy już okrucieństwa, sadyzmu i gwałtu. Ugruntowane teoretycznie za sprawą odwołań do gender theories bierze na cel pakietowo wszystko to, co zostało przyszpilone jako „tradycyjny wzorzec zachowań”

matki, która nie chce dać renty,
wzruszanie
ramionami na
przezwicka starszych
chłopaków,
wysyłanie starej po
piwo („Leć, leć,
wreszcie
schudniesz!”),
wbijanie paznokci w
rękę, żeby nie
wrzasnąć u dentysty,
topienie w glinianie
wepchniętego do
kalosza kota,

wrzucenie pannie do drinka niebieskiej tabletki oraz próba nierozpłakania się przed całą klasą są właściwie tym samym. Przynajmniej sądząc z żaru, z jakim Performatywne Chłopaki stawiają opór: patriarchalizmowi, przemocy, kapitalizmowi, heteronormatywności i zastanym wzorcom. „Od mężczyzny wymagano wytrwałości fizycznej i psychicznej” – piszą z niekłamaną zgrozą.

Feblik? No, może i feblik. Warsztaty z przytulania na Emilii Plater, długie, podszyte chlupaniem wyliczanki („Nasze przykłady na czułość dla samego siebie to: przytulenie siebie samego; prośba o masaż; prośba o bycie przytulonym; pobycie ze swoją emocją; zjedzenie ulubionych lodów; taniec; shaking; wrzask...”). I wiersz jednego z liderów grupy, Tomasza Gałązki, pod związłym tytułem „Moja wina moja wina moja bardzo męska wina”.

Ale nie ma co parskać śmiechem na myśl o Andrzeju Bobkowskim proszącym o masaż i przytulenie („Rano wstałem wcześniej, o siódmej, i bez śniadania pojechałem do kościoła do Maryknoll, do spowiedzi i do komunii. Jak się należy do tego »Dżokej Klubu«, to trzeba zachowywać reguły” – to jeden z tych najczęściej cytowanych wpisów z diariusza, 9 czerwca 1959, na kilka dni przed drugą operacją). Bo ten się śmieje, kto się śmieje ostatni: Performatywne Chłopaki zbierają fundusze na „Ciałopozytywny podręcznik dla chłopaków” (taki fajny, o samoakceptacji i niezgodzie na narzucane normy). I będą go wprowadzać do szkół razem z Projektem Sztama: Edukacja na Rzecz Zmiany. I z Fundacją Herstory. Finansowanym z Funduszy EOG. I webinaria. I jeszcze warsztaty. *I dajosz patriarchat!*

A jako kontra – co? Tylko wpis z 24 czerwca 1940. „Jakże inaczej przedstawia się naród w czasie pokoju i w czasie wojny. Wojna jest dla narodu jak rzucenie monety na marmurową płytkę; i choć nienawidzę wojny, to wydaje mi się, że trudno o lepszy probierz. Przypominam sobie, co myślałem o Francji z dawnych lat. Dziś zrozumiałem jedno; cechy, które są czarujące w czasie pokoju, które ceni się wysoko – te cechy francuskie są zgubne w tej epoce”. Kto tego będzie bronił? „*Boys won't be boys. Boys will be what we teach them to be*” – deklaruje wykładowca jednego z reklamowanego przez Performatywnych Chłopaków wykładowców TEDx Talks.

Już oni nauczą.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

